ROK I. 25 LISTOPADA 1925 R. ZESZYT 2.

Lektura Wolnych Chwil

DWUTYGODNIK ARTYSTYCZNO-LITERACKI

ABONAMENT:
ROCZNIE . . 10.— ZŁ.
PÓŁROCZNIE 5.50 „
KWARTALNIE 2.50 „

Redakcja i Administracja:
Warszawa,
Chmielna № 52. Telefon 73-38.
Konto P. K. O. 12.106
Godz. przyjęć redakc. od 12—1.

OGŁOSZENIA:
CAŁA STRONA 100.—Zł.
1/2 „ 60.— „
1/4 „ 35.— „

LORENZO DI MEDICI

SONET

Przełożył Juljan Ejsmond

Nie umrze nigdy w mej pamięci
ani to miejsce ni ten czas,
gdy uśmiechnięci, wniebowzięci
spotkaliśmy się pierwszy raz.

Tak była słodka i pobożna
i tak przedziwnych pełna kras...
Pieśnią wyśpiewać dziś nie można
jak boski Amor złączył nas...

Jak Feb na śnieżnych gór wyżynie,
skrzyły jej włosy jaśniejące...
Kiedy to było? Gdzie ten kraj?...

Nie wiem... To tylko wiem jedynie:
tam wieczny dzień — gdzie takie słońce,
gdzie taki cud — tam wieczny raj...

M. BRESZKO-BRESZKOWSKI

WALKI BYKÓW W MADRYCIE

WSPOMNIENIE

Przekład B. Seemana

I

Poranek, właściwy tylko południowi Europy, rozbłysł dokoła. Blado-turkusowe, pełne niezmąconego spokoju niebo, wolne od chmur, paliło ziemię żarem.

W naturze panował spokój, Madryt zaś sam podobny był jakby do wulkanu jakiegoś, mającego lada chwila wybuchnąć. Ten niedzielny poranek zdawał się być pełnym niepokoju, zdawał się być jakby naelektryzowanym nieznanemi, a pełnemi siły mocami.

Przyczyną tego dziwnego stanu była ostatnia w tym sezonie walka byków, odbyć się mająca o piątej na Plaza de Toros.

Emocji tej dodawał fakt, że miała się odbyć z udziałem sławnego „espady" — Bombito, którego wprost za bożka poczytywano.

Mazantini nie „pracował" już drugi rok. Dorobiwszy się bowiem znacznego majątku wolał porzucić ten niebezpieczny zawód „espady" i... zasiąść w parlamencie, a piękny Monteso został zabity przez byka podczas swych występów w Meksyku.

Został więc jeden Bombito, który ze zwyczajnego ulicznika stał się dzisiaj sławą, zarabiającą dziesięć tysięcy pesetów — sławą, którą zainteresował się nawet dwór królewski do tego stopnia, że gdy byk w swoim czasie „zadrapał" Bombitę, król Alfons XIII polecił codziennie dowiadywać się o zdrowie „espady".

— Wtrącam tutaj słowo „espada", niezrozumiałe może dla wszystkich, a jednak będące prawdziwą i jedyną nazwą dla walczącego z bykiem.

— Torreador — tak popularny u nas termin, jak i kapador oznaczają jedynie tych, którzy drażnią byka płachtami.

Bombito — bogacz podobnie jak Mazantini, angażowany bywał na gościnne występy do Brazylji i Meksyku za szalone wprost honorarja.

Był on najznakomitszym z pośród trzech braci — tworzących jakby w swoim rodzaju dynastję „espadów", żeby go jednak odróżnić, nazwano go Bombito-Chico (Mały).

Na głównym placu Puerta - del - Sol, mieściła się główna kasa, oblężona przez zwarty tłum ludzki, który mogłem doskonale obserwować z okien mego mieszkania. Porządku pilnował cały oddział karabinjerów, w operetkowych swych kostjumach.

Biletów jednak w kasie zabrakło, co było bardzo na rękę przekupniom, biorącym potrójne ceny od tego tłumu, żądnego wrażeń dzisiejszej walki.

Wyszedłem z domu, skierowując swe kroki do kawiarni. Wszystkie gazety i czasopisma pełne były fotografji „espadów", kapadorów, pikadorów i sześciu pięknych byków, sprowadzonych z Andaluzji specjalnie na dzisiejsze święto.

Wśród gwaru, napełniającego kawiarnię, obijały się tylko o uszy urywane zdania:

— Bombito... Bombito...

— Plaza de Toros...

— Pastor — Gomez, Gomez — Pastor...

Z powodu bowiem „nagłej choroby" espady Pastora — miał go zastąpić Rafael Gomez. Wywiązywała się z tego powodu pewna polemika pomiędzy zwolennikami jednej lub drugiej strony.

W kawiarni znajdowali się również i bohaterowie dnia — rycerze areny. Wszyscy oni byli odświętnie ubrani w dużych, lśniących „sombreros" na głowach. Można ich było poznać po krótkich kosmykach włosów wymykających się z pod „sombrero", podczas gdy u zwykłych śmiertelników były one starannie schowane pod kapeluszem.

Przed śniadaniem jeszcze postanowiłem obejrzeć „kulisy" Plaza de Toros.

Wsiadłem przeto do tramwaju i po dwudziestu minutach znalazłem się u celu.

Dookoła pełno było rozłożystych akacji i klonów.

Podwórza i całe szeregi zabudowań tuliły się jakby do cichego, milczącego, okrągłego budynku. Przybyłem podczas oględzin koni pikadorów przez weterynarzy. Był to cały szwadron nędznych, chudych koni, w stylu rumaków Don Kichota. Patrzały one apatycznie, ponuro, a większość ich miała widome znaki obcowania z dzikimi bykami.

Ślepia ich zdawały się mówić:

— Cóż nam po życiu? Wcześniej czy później rogi bycze rozniosą ciała nasze po arenie...

Weterynarze są jednak pomimo wszystko potrzebni. Koń bowiem chory udziału w walce nie bierze, gdyż pełna za-

razków krew jego przeniesiona na rogach byczych, mogłaby zaszkodzić torreadorom, gdyby znów byk ich skaleczył.

Rej wodził tutaj tłusty, krępy impresarjo, wśród tłumu służby, publiczności i wszędzie obecnych karabinjerów.

Punktem kulminacyjnym było jednak miejsce, gdzie znajdowało się sześciu byków, przeznaczonych na dzisiejszą walkę.

Było tłumno, pomimo że wejście kosztowało pesetę, a długie szeregi powozów i samochodów ciągnęły się wdal. Odświętnie wyglądały dzisiaj te budynki pełne kręconych schodów, powietrznych mostków i ciężkich drzwi na sznurach i blokach zawieszonych.

Eleganckie toaletv pań, stojących na mostkach, wyróżniały się wśród tłumu mężczyzn cywilnych i niebiesko-czerwonych kurtek huzarów.

W dole pod chwiejnymi mostkami stali rogaci bohaterzy dnia.

Cała publiczność, z ilustracjami w rękach, porównywała fotografje z rzeczywistością, wydając sądy o zdolnościach ich do walki.

Role już zostały podzielone pomiędzy zwierzętami. Dwa najniebezpieczniejsze byki (jeden z odłamanym rogiem), znane wszystkim ze swej siły — były przeznaczone Bombicie.

Właściciel byków, obywatel Andaluzji don Pablo Renhumea, obsypywany całą masą komplimentów za tak pięne okazy swej hodowli, stał skromnie, dziękując zebranym i nerwowo miętosząc w rękach swą białą panamę.

Młody jeszcze hiszpan, stojący obok mnie z cygarem w ustach, nieproszony zupełnie, objaśniał mnie w języku francuskim:

— Pan to rozumie, co to za straszna będzie walka Bombity z tym czarnym bykiem. — Te rozszerzone rogi oznaczają wielką siłę i trudno będzie go pokonać. — Mówię, wie Pan, to z praktyki... Kto bowie widział w swojem życiu 544 walki, ten posiada pewną znajomość rzeczy.

— O tak! pomyślałem. Taki krwawy korowód walk mógł dać praktykę w ocenianiu zwierząt.

Rumiany, silny pastuch, mistrzowsko władający sznurami, przepędzał byki z jednej zagrody do drugiej, wabiąc je widokiem rudych krów, które w wesołych podskokach uciekały, dzwoniąc dużymi dzwonkami, zawieszonymi na szyjach.

Przegląd skończony. — Byki zapędzono do ciemnej zagrody, skąd jest tylko jedno wyjście na arenę.

Przegląd ten ma jednak i swoją oficjalną stronę, która zaznacza się tem, że kartka z imionami biorących udział w walce „espadów", jak i byków, zostaje wręczona urzędnikowi policji.

Publiczność tymczasem rozchodzi się, by znów o piątej po południu zebrać się dla podziwu krwawej walki.

II

Cyrk w Madrycie (Plaza de Toros) jest jednym z większych cyrków w Hiszpanii i pomieszcza dwadzieścia tysięcy widzów.

Wszystkie miejsca w dniu tym były zajęte. Loże, granitowe ławki amfiteatru, przepełnione były publicznością, żądną ujrzenia krwawych starć człowieka ze wściekłem zwierzęciem.

Ocieniona strona cyrku była znacznie droższą, to też zajęła ją wytworna publiczność stolicy.

Białe, czarne i czerwone wachlarze w rękach pięknych hiszpanek zdawały się być podobne do różnobarwnego roju motyli, poruszających skrzydełkami, by wznosić się w przestworza.

Gwarny, nerwowy, dwudziesto tysięczny tłum dzieci południa zgromadził się tutaj bez różnicy stanów i wieku, by tylko zadowolnić swe pragnienia ujrzenia krwawych uciech.

Z góry patrzało spokojnie niebo na to ludzie mrowisko, zasnuwając świat cały niby firanką — zmrokiem wieczoru letniego.

Królewska loża, wysłana aksamitem, również była zajęta, lecz nie przez króla samego, który natenczas przebywał w letnim swym pałacu, a przez jego przedstawiciela—„alkada“.

Godzina piąta. Arenę, przedzieloną cieniem zroszono wodą.

Zagrzmiały trąby heroldów i wśród ich dźwięków wjechało dwóch jeźdźców w krótkich czarnych płaszczach — „alguacilów“, w czarnych kapeluszach ze strusiemi piórami. w rękawicach z długimi frendzlami — niby staroświeccy rycerze i podjechawszy galopem ku loży „alkada“ — pozdrowili go uchylając kapeluszy.

Przedstawiciel króla powstał i wręczył „alguacilom“ symboliczne klucze od areny.

Było to potężne i piękne zarazem, dając złudzenie dzisiejszemu człowiekowi uchylenia rąbka zasłony czasu, by ujrzeć tradycję lat minionych.

Ukryta orkiestra zagrzmiała marsz wojenny, którego dźwięki ongiś wiodły do walki o wolność wojska Filipa II.

Otworzono wrota.

Trzeba było być malarzem, by uchwycić ten cudny obraz i przelać na płótno dla potomności. Grupa okazałych mężczyzn w kolorowych, przeszywanych złotem i srebrem, kostjumach, w lśniących różnemi barwami płaszczach, w czarnych

pluszowych kapeluszach, szła elastycznym krokiem przez arenę, by hołd swój oddać „alkadowi“.

Ttak witali dwa tysiące lat temu gladjatorzy Cezara, by zginąć potem pięknie na oczach jego.

Gdy szli w słońcu, blask bił od ich pięknych kostjumów, przechodząc zwolna w łagodny ton barw, gdy wchodzili w zacienioną część areny.

Ten tłum espadów, torreadorów i bandurzystów był tłumem, żyjącym bez jutra. Zdawali sobie sprawę świadomie że śmierć czeka ich na każdym kroku.

Pochód ten zamykał oddział konnych pikadorów w kapeluszach o szerokich skrzydłach, w spodniach z łusek i w opancerzonych strzemionach.

Silni ci i rośli mężczyźni stanowili szalony kontrast ze swemi marnemi szkapami, które leniwym krokiem kroczyły za barwnym tłumem.

Na czele tego wspaniałego orszaku szedł — Bombito.

— Bombito!... Hole, Bombito!... krzyczały tłumy.

Bombito niewysoki, szczupły, szedł spokojnie, a regularne jego rysy zdawały się być jakby przesycone już tymi hołdami, którymi tłum go darzył.

Bogactwem swej kurtki, przetykanej prawdziwymi brylantami, rubinami i szmaragdami, mógł śmiało zakasować każdą primadonnę operetkową.

Ciemno-bronzowe spodnie do kolan przechodziły dalej w jedwabne pończochy, obciągnięte na muskularnych nogach obutych w czarne pantofle.

Szedł, uśmiechając się do kobiet — uśmiechem podobnym do rozpieszczonego dziecka.

Za nim szedł espada Manolet — wschodząca gwiazda.

Espada ten „z przypadku“, podobny do Mefistofelesa, o kościstej, mądrej twarzy, marzył w swoim czasie o innej karjerze.

Był on doktorem matematyki, który to zawód w Hiszpanji skazuje na śmierć głodową, postanowił więc zmienić karjerę i z uczonego stał się espadą, zarabiając pięć tysięcy pesetów za występ.

Posiadając w dużym stopniu rozwiniętą ambicję i zazdroszcząc powodzenia Bombicie, postanowił dzisiaj, walcząc z nim w pierwszej parze, pokazać tłumowi swoje „ja“, swoją siłę w krwawej tej walce.

Cyrk, domyślając się tego, oczekiwał z niecierpliwością rezultatu owego współzawodnictwa.

Wstępne uroczystości zostały ukończone. Alkad dał swe „błogosławieństwo“.

Zagrzmiały znów trąby. Arena opustoszała, jedynie pod barjerami zbił się w gromadkę tłum espadów, bandurzystów i kapadorów. Pikadorzy konie swe osadzili na zadach tuż przy barjerze.

Wypuszczono pierwszego byka — Bombity, oznaczonego 83-im numerem. Wielki, czarny, pędzący na ślepo przed siebie byk, podobał się publiczności. Rozległy się brawa.

— Poczekajcie... nie tak ja was jeszcze zadziwię...

I w dzikich podskokach rzucił się na barwny, strojny tłum ludzi, którzy z małpią wprost zwinnością przeskoczyli barjerę, przed którą byk zmuszony był się zatrzymać.

— Wy tak?...

I nienamyślając się długo — byk, to straszne wprost cielsko, przeskoczył przez barjerę. Zatrzeszczały deski. Popłoch, panika! Byk zupełnie owładnął ogólną sympatją.

Z ledwością udało się jednak w końcu wpędzić go z powrotem na arenę.

Barwny tłum z płachtami okrążył go i rozpoczęła się zabawa z własnem życiem...

Uwagę wszystkich zwracał Bombito, który wprost z trudną do opisania zręcznością, drażnił swego przeciwnika. Podsuwał się bliziutko do niego, zdawał się dotykać swemi złotemi wyszyciami kurtki jego rogów, to znów odskakiwał niby baletnica, zmuszając zwierzę do wściekłego skoku w próżnię.

Rozpościerając znów płachtę drażni go przed samą prawie mordą, rozpoczynając grę ze swym czworonożnym przeciwnikiem.

Żeby jednak zwierzę więcej rozwścieklić wjeżdżają na arenę pikadorzy na swych drżących ze strachu klaczkach.

Zakłuć byka nie można, a jedynie wolno go zranić wtedy, gdy rzuca się na konie.

Byk tymczasem, zgiąwszy kark rzuca się na najbliżej stojącego konia i zanim pikador zdąży go zranić — wbija rogi w brzuch nieszczęsnego zwierzęcia.

Pikadora, który spadł, pochwycono czemprędzej z ziemi. Trupy końskie, których już dużo się nagromadziło, zabrano, a zranione zwierzęta zaciągnięto, celem „zaszycia" ran, by znów mogły powrócić na arenę.

Byk jednak też cało z tej opresji nie wyszedł. Czarna jego lśniąca sierść ociekała w wielu miejscach ciemną, gestą krwią. Spokoju jednak mu nie dano. Oto tam z boku mami go ku sobie niski człowieczek, trzymający dwie kopje w kształcie strzał w rękach.

Byk skacze ku niemu, sekunda... i kopje wbiły się w grube cielsko.

Zwierzę drży z bólu. Rzuca się i ryje ziemię kopytami, a nowe wciąż i nowe kopje wbijają się bez przerwy w cielsko jego.

I gdy się zmęczyło to zwierzę podobne do fantastycznego jakiegoś jeża z mnóstwem strzał w swem cielsku, nadszedł finał — walka z espadą.

Bombito skłonił się alkadowi... może po raz ostatni. Odrzucił kapelusz, czyjeś ręce podały szpadę z czerwoną gardą.

Młody, z obnażoną głową, pełen męskości i siły, uśmiechnięty, z czerwoną płachtą i gardą szpady w dłoniach, podchodzi wolno Bombito do okrwawionego w zapasach zwierzęcia.

III

Wszyscy rycerze areny przedstawiali doskonale zgraną trupę. Każdy z nich czuwał nie tylko nad sobą, lecz i nad towarzyszami, którym na każdym kroku groziło wielkie niebezpieczeństwo.

W tem to odznaczała się głównie „dynastja Bombitów". Bombito - Mały, dzisiejsza sława, parę lat temu znalazł się w ogromnem niebezpieczeństwie: byk ubódł go parę razy nie czyniąc mu jednak żadnego szwanku i młody espada jedynie tylko zawisł mu na rogach, zaczepionych o jego kurtkę. Wtedy to brat jego — siłacz, chwycił byka za rogi, podczas gdy inni torreadorzy zdejmowali Bombitę-Chico.

I teraz zaczął on grę z pewnem ryzykiem. Nie mógł inaczej.

Nie darmo go przecież król zapraszał do swej loży, nie darmo miał pałac, samochody i całe sfory psów myśliwskich.

Wszystko to było rezultatem jego ryzykownej walki, zręczności i odwagi.

Maleńki bowiem cień tylko ostrożności z jego strony, a publiczność go wygwiżdże i zarzuci skórzanemi poduszkami (granitowe ławki amfiteatru zaopatrzone są w specjalne poduszki za oddzielną dopłatą).

Odrazu jednak przystąpić do zabicia byka nie można. Trzeba się z nim pobawić, rozwścieczyć go, postawić parę razy życie swoje na kartę i wtedy dopiero utopić szpadę w jego cielsku.

Idealnym espadą jest ten, kto jednem uderzeniem szpady w kark przekłuje serce.

Idealnego na świecie jednak nic niema.

Bombito był prawie wirtuozem w znęcaniu się nad bykiem i nie miał rywali na tem polu.

Mazantini jednak (dawniej), Algabenjo i Machaquito przewyższali go w decydujących pchnięciach szpadą.

Krążyły nawet dowcipy, że gdyby Mazantini nie porzucił był swej karjery i żeby „pracował“ jeszcze z dziesięć lat, toby w Hiszpanji nie zostało ani jednego byka.

Bombito tymczasem krzyknąwszy torreadorom by mu nie przeszkadzali, posuwał się ku bykowi zwinnymi, jak pantera, krokami, trzymając w lewem ręku płachtę, a w prawem — szpadę.

Podsunął się bliżej jeszcze i tupnął nogą.

Byk opuścił łeb.

Cyrk zadrżał...

Rzucił się... O Boże, co za straszne uderzenie olbrzymich rogów rozpruło powietrze.

Bombito stał już z boku i z ironicznym uśmieszkiem mamił znów byka ku sobie.

Była to straszna gra na nerwach. Cóż za nieludzkie wprost panowanie nad sobą. — Matematyczne jakby obliczenie każdego najmniejszego ruchu.

Służący w czerwonej koszuli, niby garybaldczyk, wniósł krzesło na arenę.

Bombito usiadł i zapaliwszy cygaro, puszczał niebieskie kłęby dymu, uśmiechając sie niedbale w stronę loży alkada.

Byk — zdecydowany, zły szedł prosto na niego. Dzieliły ich dwa kroki... Bombito dalej palił spokojnie cygaro... Zdawało się, że lada chwila ociekające krwią zwierzę zdławi tego człowieka.

Bombito... łobuzersko uderzał go po mordzie.

Sekunda... i krzesło z hukiem w drzazgi się rozprysło kruszone ze złością przez wściekłe zwierzę. A Bombito?...

...Bombito o parę kroków dalej — kłaniał się z przyjacielskim uśmiechem publiczności.

Manolet — chudy z zagadkową i niedobrą twarzą Mefistofelesa, zagryzał usta, zazdrośnie patrząc na Bombitę.

Pocieszał się jednak myślą, że z następnym bykiem będzie mógł pokazać tłumowi, co potrafi.

Publiczność zaś zniecierpliwiona długą grą żąda:

— Mata! (Bij).

Ostateczne uderzenie nie bywa jednak nigdy podczas zaciętej walki, a przeciwnie, gdy zwierzę stoi zupełnie spokojnie.

Uderzenie to powinno być celnem, gdyż w przeciwnym razie grozi espadzie szalonem wprost niebezpieczeństwem.

Pchnięcie szpadą pociąga za sobą zwykle wściekły skok zwierzęcia na espadę, wobec czego ten ostatni musi odskoczyć by uniknąć uderzenia.

Czerwone, jaskrawe odbicie słońca przelewało się na płachcie Bombity. Byk ustawił się. Bombito wyjął szpadę. Upły-

wały sekundy męczącego oczekiwania sekundy, zdające się być godzinami.

Oko ludzkie niezdolne jest wprost objąć tego wspaniałego i zarazem strasznego momentu. Zauważyć jedynie można było odskoczenie Bombity i szpadę po połowę tkwiącą w szyi byka. Klin ominął serce — zwierzę mocno stało jeszcze na nogach.

Ktoś gwizdnął, gwizdnął jemu — bożkowi Bombiciel... On tupnął ze złością nogą, rzuciwszy przez zęby jakieś przekleństwo.

I znów okrążyli torreadorzy byka, znów zamigotały ich barwne płachty. Ktoś podał Bombicie nową szpadę, której ten jednak nie przyjął.

Zdjął tylko płaszcz i, zarzuciwszy go na byka, pociągnął — wyrywając mu swoją szpadę.

Było to zrobione z fenomenalną wpost zręcznością. Zostawało więc tylko przypuścić szturm ostateczny i zwalić byka na ziemię, by więcej już nie powstał.

Bombito stanął spokojnie, mierząc uderzenie między rogi. Przerażenie malowało się w oczach widzów: poco on to robi?... klin złamie i sam znajdzie się na rogach!...

Bombito jednak wiedział, co robi.

Miało się wrażenie, że dotknął jedynie końcem szpady niewidzialnej jakiejś niteczki na łbie zwierzęcia — nici życia.

I momentalnie zgasło wszystko w tem dzikiem bydlęciu, które tak drogo sprzedawało swój żywot.

Wielki łeb swój zwiesiwszy, zgiął łapy i z hukiem runął u stóp zwycięzcy.

Ciężkie było uderzenie, Bombito przebił mu mózg, uderzając go w miejsce, gdzie znajduje się chrząstkowa szczelina pomiędzy dwiema kośćmi, zarosła z zewnątrz szerścią. Przez otwór ten z ledwością przechodzi sam koniec szpady.

Burzliwy, rozumem wprost niepojęty zachwyt opanował tłum. Kobiety w jakimś pijanym szale rzucały na arenę bransolety, broszki, lornetki, pierścionki, parasolki. Mężczyźni zaś nieustępując im w zachycie: papierośnice, laski, monety złote. Szum, brawa, nieopisane wprost krzyki zachwytu...

Torreador chodził za Bombitą i zbierał widome oznaki hołdu, oddane talentowi wielkiego espady.

Wydawano okrzyki uznania.

— Takie uderzenie! takie uderzenie można raz na sto lat zobaczyć, o wielki Bombito!...

IV.

Manolet znalazł się w przykrem położeniu. Po niebywałem powodzeniu Bombity trudno było zwrócić na siebie

uwagę tłumu, u którego zapał ostygł po nerwowem wyczerpaniu, spowodowanem występem Bombity.

Mały antrakt, konieczny choćby tylko diatego by trupy końskie uprzątnąć. Groźne i straszne przed chwilą cielsko byka leżało spokojnie, odznaczając się swą czarną barwą na tle jasnego piasku areny, zroszonej gęsto krwią. Czwórka silnych koni upiększonych bębenkami i wstążkami, wyciągnęła martwe zwierzę z areny przy dzwiękach wesołego marsza zwycięstwa.

Nie zdążyły się jednak zamknąć jedne wrota, gdy z drugich wybiegł nowy byk. Rudy, oślepły złotym blaskiem słońca, podniecony gwarem tłumu, cofał się, nie rozumiejąc tego wszystkiego, co go otaczało.

Publiczność nielubiąca tchórzliwych stworzeń gwizdała. A gdy byk zaczął się cofać przed otaczającym go tłumem pikadorów, wzmógł się gwizd i słychać było krzyki:

— Precz z tchórzem!... Nie chcemy... I na znak protestu poleciały na arenę poduszki.

Ktoś jednak domyślił się i krzyknął:

— Fuego! (ognia).

Tłum podtrzymał ten okrzyk.

Ogień bowiem był ostatnim środkiem dla rozwścieczenia byka.

— Fuego! — gestykulując krzyczeli starcy o fanatycznych twarzach.

— Fuego! — wrzeszczała młodzież.

— Fuego! — szczebiotały różowe usteczka dzieci w koronkach i batystach.

Przyniesione rakiety.

Bach! Bach! Ba-Bach — rozległa się kanonada i ziejące ogniem gwiazdy spadały na zwierzę, osmalając mu skórę.

Teraz już się nie cofał. Wpadłszy w wściekłość rozpruł brzuchy trzem koniom, rzucając się w strasznym bólu tlącej się swej sierści. Tłum już nie gwizdał, jeno mu brawo bił...

Spieszeni pikadorzy uciekli. Byk na ślepo rzucał się pomiędzy okrążających go torreadorów. Jasno-złota jego sierść miejscami była zwęglona, a małe, okrągłe oczki krwią nabiegły.

„Zabawa“ Bombity podobną była do zgrabnych, szybkich ruchów pantery, podczas gdy Manolet prowadził swą „zabawę“, jak prawdziwy doktór matematyki. Wysoki, chudy, ponury sobowtór Mefistofelesa starał się zahypnotyzować płachtą swoją byka, niby czarami jakiemiś.

Nie posiadając ostrych i bystrych ruchów, poruszał się opieszale, dając tem samem bykowi wolne pole do działania.

Tłum uprzedza:

— Hole! Hole!, co jest dobrym znakiem, bojaźnią o „grę“ zachodzącą zbyt daleko.

Manolet doprowadził swoją czerwoną płachtą byka do ostatniej wściekłości. I gdy byk z opuszczonym łbem gotował się do skoku — doktór matematyki klęczał już, wzniósłszy ręce do góry. Sam sobie odcinał drogę do ratunku.

Dwudziesto tysięczna publiczność krzyknęła, jak jeden mąż.

Bombito swym płaszczem odciągnął byka. Manolet wstał. Cały huragan brawa posypał się z góry: owacja ta pokrywała tryumfy Bombity.

Manolet obchodził dookoła arenę z ponurym wyrazem twarzy, kłaniając się publiczności. Brawa nie milkły.

Podniósł szpadę, rozpoczynając nową grę. I znów jak piłką, bawił się życiem swojem. Byk zatrzymał się. Manolet szykował się do uderzenia, zwierzę jednak porwało się i w przeciągu jednej strasznej chwili — skłębiły się dwa ciała w morderczym uścisku.

Manolet wyrwał się z szalonej tej walki z rozerwanym rękawem, uwidoczniającym zakrwawione strzępy koszuli.

Szpada tkwiła po rękojeść w szyi byka, ktory jednak stał silnie, nie ruszając się z miejsca.

Publiczność chciała już gwizdać.

Manolet zaś stał, jakby hypnotyzując zwierzę i podniósłszy zdrową, prawą rękę do góry, krzyknął: poczekajcie! Zdążycie jeszcze! I wtej chwili byk, posłuszny wzrokowi Manoleta, runął na piasek.

Manolet uratował opinję swej wschodzącej gwiazdy.

Potem występował Galito, następnie znów Bombito i znów Manolet. Aż sześciu byków — zwykła porcja — legło w śmiertelnych drgawkach. A gdy padło ostatnie zwierzę, publiczność tłumnie rzuciła się na arenę, by „na szczęście“ wziąć choć jedną strzałę...

Wróciwszy do hotelu, nie mogłem nic przełknąć, mając ciągle przed oczyma krwawe widmo walk.

Obok mnie, przy stoliku, siedział jakiś anglik, przed którego talerzem leżała strzała z zaskrzepłą krwią, wzięta na „szczęście“.

Jak już wspomniałem, popularni „espadzi“ w przeciągu paru lat zbierają kolosalne majątki. Sam widziałem pałac znakomitego Machaquito w Kordubie, gdzie znajdują się również Velasquez i Murillo.

Pałace to przedstawiają całe muzea, nieustępujące w niczem skarbom wielkich grandów.

Bywają espadzi, którzy jadąc gdzieś na występy, zamawiają sobie specjalne pociągi. Poza swojem bogactwem są to

przeważnie piękni mężczyźni, którzy czarodziejsko łączą odwagę z męskością i zgrabnością ruchów. Dekoracyjną stroną jest bajeczny ich ubiór.

W Hiszpanji niema święta, któreby się nie kończyło walką byków. Niedawno, z okazji mianowania nowych oficerów piechoty, odbył się uroczysty obiad w Toledo z udziałem króla, przy którym siedział Bombito i Machaquito.

Na drugi zaś dzień odbyła się wspaniała walka byków.

Wszyscy torreadorzy, za małymi wyjątkami, są dziećmi Andaluzji.

Bombito — z Sewilli, Machaquito z Korduby, Fuentes z Granady.

Piszę to w Sewilli, mieście pełnem torreadorów i ich podobizn, zapełniających prawie wszystkie wystawy sklepów.

V

Oszołomiony, aż do zamroczenia temi krwawemi widoskami, byłem uczestnikiem wszystkich prawie walk w Barcelonie, Walencji, Granadzie i Kartaginie. W Sewilli zupełnie przypadkowo poznałem króla espadów Bombitę, który naznaczywszy mi spotkanie w Angielskiej cukierni — zjawił się z iście królewską punktualnością.

Zajechał wytwornym powozem, zaprzężonym w parę pięknych koni. Lokaj w liberji, zeskoczywszy z kozła, otworzył drzwiczki ekwipażu, z którego wysiadł Bombito, ubrany w granatową marynarkę, czarny „sombrero“ na głowie i białe flanelowe spodnie.

Odpowiadając na ukłony przechodniów, wszedł, skierowując swe kroki do mego stolika. Rozmowę prowadziliśmy w języku francuskim, którym z espadów władał tylko Mazantini i on.

Powóz tymczasem okrążył tłum żandarmów, karabinjerów i przekupek, żądnych usłyszenia od służby jego, wyników ostatniego występu Bombity w Lizbonie.

— Wczoraj wróciłem z Lizbony — mówił Bombito swym miękkim, melodyjnym tenorem.— Żałuję, że nie żyje już król Don Pedro, mój wielki zwolennik.

— Będąc jutro u mnie łaskawie na obiedzie będzie pan miał sposobność obejrzenia podarków od niego, jak również od miłościwie nam panującego króla Alfonsa XIII.

Stolik nasz zwracał ogólną uwagę, setki oczu bałwochwalczo wpatrywało się w Bombitę.

Ruchliwa, ogolona, miła twarz czyniła go bardzo młodym.

— Ile liczy pan sobie lat — spytałem nieśmiało.

— Dwadzieścia osiem. Mając już jednak czternaście — położyłem pierwszego byka i od tej pory „pracuję“.

— Niezpieczną jest jednak pańska „sztuka"..

— O tak! Nigdy człowiek nie jest pewny, czy dożyje dnia jutrzejszego. Ranny byłem ciężko piętnaście razy, a na występach w Meksyku byłem prawie umierający po walce, w której zginął biedny Monteso.

Wogóle nie wiedzie się nam z meksykańskimi bykami.

— A czy to prawda, że powracającego z Meksyku, spotykała pana uroczyście cała Barcelona?

Bombito uśmiechnął się nie bez pewnej domieszki zarozumiałości.

— Tak! Można było wtedy pomyśleć, że jestem koronowaną osobą, chociaż i te nie wszystkie spotyka naród z podobnym szczerym i serdecznym zachwytem.

— Pan przecież jest bogaczem, miljonerem, mającym życie już zabezpieczone, czy więc nigdy nie zapragnął pan porzucenia karjery, podobnie, jak Mazantini?...

O nie, ja jeszcze popracuję! Trudno, wie pan, porzucić to życie, z którem zżyłem się nerwami swymi, do którego się przyzwyczaiłem i w którem na każdym kroku czekają mnie podniecające przygody.

— Jak również nowe tryumfy i nowe uwielbienia?... wtrąciłem.

— A jednak — w tem całe piękno, to dodaje bodźca do stawiania swego życia na kartę gry hazardownej.

— Zechce mnie pan jeszcze objaśnić, czy dobre uderzenie wymaga, prócz zręczności, zimnej krwi i siły fizycznej?

Ciekawie spojrzał na mnie ostremi, śmiałemi oczyma.

— Domyślam się, dlaczego zadaje mi pan to pytanie. Pomyślał pan pewnie, sądząc po mojej figurze, że jestem słaby... Proszę spojrzeć na moje muskuły, które codziennie trenuję.

Dotknąłem palcami jego ramienia i przekonałem się, że mięśnie jego były twarde, jak stal.

Przez otwarte okna i drzwi kawiarni — zaglądała duszna noc sewilska.

Bombito zdjął kapelusz i zapleciony cienki kosmyk włosów schował pod przedział na głowie.

Gdy torreador rzuca już swe rzemiosło — ofiarowuje wtedy ów kosmyk włosów swych żonie, siostrze lub matce. Zmarła żona Mazantiniego naprzykład kazała sobie jego kosmyk włosów położyć do trumny.

Bombito dużo podróżował. Znał Włochy, Paryż, Francję wogóle, gdzie tamtejsza arystokracja zapraszała go parokrotnie na polowania.

— Może i do Was zajrzę, jeśli pozwolicie na urządzenie walki byków?

— Wątpię. U nas widowisko to uważane jest za zby okrutne.

— Okrutne? Zdziwił się Bombito. — Pierwszy raz słyszę. Uważam, że bardziej okrutnem jest zarżnięcie byka w rzeźni, aniżeli pchnięcie szpadą na arenie...

— A gdzie występuje pan w najbliższym czasie?

— O, mam cały szereg występów w Barcelonie, Walencji, Kartaginie, Murcji i w San-Sebastjano...

Następnego dnia byłem u niego na obiedzie. Ulicznik z urodzenia żyje teraz po królewsku. Wspaniały pałac o kwadratowem, marmurowem podwórzu, pełnem podzwrotnikowych roślin Doskonała francuska kuchnia. Cała armja służby w liberji, pałac zaś, to prawdziwe muzeum, pełne drogocennych zbiorów i pierwszorzędnych obrazów.

Niedarmo był... piętnaście razy ciężko ranionym.

Olbrzymia gablota świeci i migocze podarkami wysoko postawionych osób.

Wielka sala gimnastyczna pozawieszana byczymi łbami, które nie nasuwają widzowi miłych wspomnień.

Tak mieszkają i inne znakomitości na Plaza de Toros: jak Fuentes, Algabenjo, Machaquito i Cherito.

To ostatni gladjatorzy...

Dotąd nie przyjął się jednak stary zwyczaj poświęcania byka swej pani serca. A jedynie przed trzema laty Fuentes w Sewilli poświęcił zwierzę głośnej śpiewaczce Van-Brandt.

Na pożegnanie Bombito ofiarował mi dwie swoje podobizny z autografami w języku francuskim i hiszpańskim.



MINJATURY

KAROL

UŚMIECH POLKI

Uśmiech młodej, nadobnej kobiety podobien jest woni kwiatu. Ma urok czasem odurzający, działa w sposób tajemniczy roznosząc po nerwach fale wzruszeń.

Bywają najrozmaitsze odcienie uśmiechu: smętny, pokorny, cichy, naiwny, wabiący, kuszący, ironiczny, lekceważący, dumny i zwycięski.

Kobieta pewna swego uroku wygrywa karminowemi wargami przebogatą symfonję wdzięku, pieszczoty, miłości — czasami zdrady chytrej i podstępnej!..

W przelotnych wycieczkach po świecie notowałem wrażenia wywołane uśmiechami cudzoziemek.. Pamiętam, jak na pewnem zebraniu ukazały się cztery amerykanki. Każda na powitanie miała uśmiech konwencjonalny, stereotypowy, jakby mechaniczne poruszenie warg z akompanjamentem lekkiego ukłonu głową. Uśmiechy paryżanek wydały mi się dość wabne, ale suche, nerwowe, czasem przerafinowanie zalotne, gdy im chodziło o podbicie mężczyzny. Uśmiechy niemek zdawkowo przyjemne nie miały wielkiej gracji. Na ekranie najwięcej przemawiały do mnie uśmiechy dwu filmowych aktorek angielskich, zwłaszcza jednej, która okazywała w nich głębszą harmonję duszy, ciche drgnienia rodzącej się miłości, głębie wewnętrznej zadumy i tajemne przeczucia serca.

Ale w życiu codziennem nadewszystko czarowały mnie uśmiechy — polek! Niedawno Heine nazwał rodaczki nasze aniołami ziemi, gdy aniołów mianował - polkami nieba. Uśmiech Polki ma urok nieznany na całym kontynencie. Jest on c i e p ł y, serdeczny i miły.

Ciepło, ciepło jest jego niesłychanym powabem, — ciepło połączone czasem nawet u kobiet dojrzałych z jakimś półdziecięcym wyrazem ciekawości. A przytem jaka rozmaitość odcieni, jakie bogactwo zmian z towarzyszeniem wdzięcznych ruchów głową, albo błysków oczu... A jaka serdeczność, jaka pogoda, gdy zalśni w oku skra wesela, gdy rozchylą się i podniosą do góry kąciki ust, z których buchnie gama srebrzystego śmiechu.

Nie mówię o tych uśmiechach stłumionych, miłośnie upojnych, o tych które budzą ciche dreszcze i zwyciężają czarem nieprzepartym. To są a r c a n a miłości młodzieńczej, nieuchwytne w zwykłem słowie... Ale jakże miłe, jak wymowne bywają uśmiechy Polki nawet w zwykłej przyjacielskiej rozmowie, przy wymianie uczuć sympatycznych. One każą zapominać o marności naszej prozy, o kłopotach codziennych, o małych ukłuciach i troskach życia powszedniego. Zdarzyło mi się nieraz, że ten pierwszy ciepły, serdeczny uśmiech odrazu wytworzył między mną a nieznaną jeszcze kobietą jakieś sympatyczne nici. Pamiętam parę takich roześmiań i rozmów przyjaznych z kobietami, z któremi zetknąłem się raz jeden, niby liść niesiony przelotnym wirem zdarzeń.

A nadewszystko cenne są drogie te uśmiechy, które w jesieni żywota przypominają jutrznie wiosenne — te uśmiechy pogodne i szlachetne — promienie dusz bratnich, które zaznały rozkoszy i cierni żywota... Wrażenia paru uśmiechów Polek, uśmiechów pełnych głębszej sympatji i duchowej godności, zachowuję jak klejnoty w skarbczyku pamięci!

JADWIGA DOMAŃSKA

Z „PIEŚNI ARYTIS"

HYMN NILU

Pozdrowiona mi bądź ziemio Khemi*) i ty rzeko potrzykroć święta!

Izydo, daj łzy dla gwieździstych rzęs nieba, aby się rozradował

*) Starożytna nazwa Egiptu (P. A.).

Nil i ciężkimi pocałunkami rozszalałych fal zapłodnił Twe boskie łono, o Hessi!

Nie umiem ci śpiewać tak jakbym chciała. Zazdroszczę gołębicom, iż dotknięciem skrzydeł pieścić im wolno twe wody święte, o każdej porze dnia... Czy rano gdy się płonisz wschodzącem słońcem — czy gdyś złoty południem, lub czarny odpoczynkiem nocy...

Powierzam falom twoim poświęcony lotus. Swawolny syn Izydy ubarwił go jutrzenką i nie wiem czy więcej różowym jest kwiat, czy dalekich gór wierzchołki, płonące zmierzchem lub świtem...

OFIARA

Złożyłam Ci wtedy w ofierze puszkę arabską ze złota... Napełniłam ją bezcennym balsamem z gór Schiair Rozcięłam ramię i przesyciłam krwią balsam, a na puszce wyryty był znak serca i położony napis: „Tobie Nilu ja — córka Ramzesa — Ar.tis, składam w ofierze krew moją i serce.. Przyjmij mię za oblubienicę swoją..."

...Długo wończas oczy moje biegły za rozkołysanym na falach złotym moim darem, który rzucał blaski olśniewające na ciche wody.

Ni to Horus schodzący z nieba, by ucałować Nil.

Przyjęłaś mój dar, rzeko święta...

Strzegłeś go dobry oblubieńcze. Lecz na atoręl Zaliż wiedziałam że składam Ci w ofierze rozkosze amentu i piekło niewypłakanych łez. Czyż należy bóstwom składać ofiarę... z Boga, który stwarza, maluje, rozpromienia wszystko swem tchnieniem, a potem wchodzi cichutko do malutkiej świątyni ludzkiego serca i przez okienka oczu sprawy dzieł swoich ogląda?

Tak, ofiarowałam Ci, Nilu, swoje serce. I oto po długich wiekach mąk, oddałeś mi, wtedy poświęcony Ci, dar. Złożyłeś go na brzegu ziemi Amentotepów.

I oto. widzę, budzi się ze snu śmierci ziemia przodków moich, na ten zew umarłej jej wielkości. zamkniętej w tem żywem mocno i głośno bijącem sercu..

...Gdy usta nocy oddychają cichym snem, błądzę nad brzegami Twymi oblubieńcze mój niebieski i wśród ruin i grobowców szukam śladów mej świetnej niegdyś ojczyzny.

Czy chcecie bym wam ofiarowała ową, po wiekach odnalezioną puszkę, w której zamknęłam swe życie?

Słuchajcie...

Nie — nie teraz... Bo oto już noc, przez palce zaróżowione zmierzchem, przesiewa pył gwiezdny i rozsypuje go po niebie i wodach.

Więc spieszę do Ciebie, ziemio Khemi, z pozdrowieniem. Ziemio, która już rozpowijasz wstęgi śmierci, by z mroków Abydosu wyłonić się w swej zamierzchłej niegdyś świetności.

LEONARD ŻYCKI

ŻOŁNIERZ NIEZNANY

Cicha leśna polana...

Ongiś tu pękały granaty, niosąc śmierc między ludzkie i leśne rzesze.

Płachty czarnego dymu kładły się na rosochatych czubach sosen, niczem baldachim tworząc nad śmierci majestatem.

A na dole, w wyrwie przez granat wyszarpanej, umierał On.

Marniejące oczy zwracał ku górze, pragnąc choć skrawek błękitu ujrzeć po raz ostatni wśród dymu czerniawy.

Lecz czarna rozpościerała się nad nim chmura i jeno ryk armat był mu pieśnią przedzgonną. Krew jego powoli wsiąkała w złoty mazurski piach.

Pochowano Go w wyrwie granatnej.. szczerym piachem zasypano szeroko rozwarte oczy..

Krzyżmu postawiono drewniany, a na nim nieudolna żołnierska ręka taki wyryła napis: Przychodźcie tu lube dziatki, gdy nadejdzie wonny maj i przynoście dla mnie kwiatki, bom tu poległ za nasz kraj!

Dziś polana tonie w słońcu, — na zwichrzonych czubach sosen zwisa błękit niebieski.

I cisza panuje naokół.

Nagle między złotobrunatnemi pniami zamigotały jasne barwy.. rozległy się świegotliwe głosy...

Gromadka bosych wiejskich dzieciaków trzymając się za ręce, niesie w uroczystem skupieniu naręcza polnego kwiecia dla „naszego żołnierza"...

A. LAGORIO

PIEŚŃ OGNISKA DOMOWEGO

Pytanie

Spoglądaliśmy spokojnie z wysokiego tarasu na wijącą się w dali wstęgę rzeki, lśniącej nieba błękitem... Aż oto wstrząsnęło nami usłyszane pytanie:

— Kiedy pójdę do szkoły? Czy sam będę chodził?

Trudno już było nie dostrzec jak się złociły coraz bardziej wierzby płaczące czyste ni perełkami rosy. Uczuliśmy wiew późnej jesieni...

Brzegów nie ożywiała już zieleń, woda rzeki mąciła się mułem.

Czemuż zapytałeś nas, synku: „Kiedy pójdę do szkoły"?

Piórnik

Gdym siedział pogrążon w zadumie, wzrok mój padł na piórnik zostawiony przez Chalo na biurku. Przypomniałem sobie własny swój piórnik i swe roztargnienie na lekcji gramatyki w szkole, gdym oglądał ciekawie obrazek znajdujący się na piórniku: był to domek z kominem dymiącym, a obok szła dróżka..

Na twoim białym jakgdyby wyrzeźbionym z kości słoniowej piórniku widziałem gołębie lecące nad rzeką.

Zmusiło mię coś do otwarcia okna: rzeka płynąca w dali błogosławieństwem mi była.

Najgorętsze pragnienia

Chalo, który już urósł, pragnąłby zamienić się w kłębek, który masz na łonie swem, żono... Milo, przeciwnie, pragnąłby już uróść najprędzej...

Mam również i ja najgorętsze pragnienie: by chwile trwały jak wieki.

Mroki

Zamknij, towarzysko, już okno, gdyż mroki otaczać nas zaczynają. Zbliża się burza.

Otul tę malutką, ja ogarnę Chalo i Milo. Złączeni we wspólnym uścisku uchylimy otaczającą nas zasłonę tajemnicy, która nas w czasie zbliżającej się burzy przerażeniem napawa.



WELL

PLOTKI O MODZIE I INNYCH SPRAWACH MIŁYCH A ZBYTKOWNYCH.

KAPRYSY

Moda jest jak piękna kobieta — kapryśna i nieobliczalna.

Latem, w najupalniejsze miesiące kazała nam nosić na głowie ciężkie filce i duże formy aksamitne. Teraz na zimno i słoty przepisuje nam wyłącznie jedwab, w najlepszym razie przybrany odrobina aksamitu lub brokatu. Jedną z najbardziej czarujących nowości w dziedzinie tegorocznych kapeluszy są turbany wschodnie — z lamy, połyskliwego jedwabiu i miękkiego aksamitu. Powodzeniem cieszą się rów-

nież berety — pluszowe, aksamitne, rypsowe, wyplatane z jedwabnych wstążeczek, drapowane, wymarszczane, duże, małe... słowem urozmaicone do nieskończoności! Niestety i turbany i berety są to fasony kapryśne, w których bynajmniej nie wszystkim jest do twarzy. Cieszymy się od niedawna z naszych szerokich sukienek, zostawiających nam swobodę ruchów, podczas gdy w zeszłorocznych wąziuchnych tubach byłyśmy rozpaczliwie spętane. Niestety i nowa moda ma swoje złe strony — modna pani w sukience krótkiej i szerokiej jak „paczka" baletnicy, wystawia na chłód zimowy nóżki w cielistych pończoszkach i... resztę w cieniuchnym jedwabnym trykocie (więcej pod obcisłą na biodrach suknię włożyć się nieda). Prześliczne tegoroczne okrycia zimowe z sutymi kloszami, obszytymi puszystem futrem, wyglądają imponująco, ale grzeją tyle co nic. Jestem przekonana, że w tym roku statystyka lekarska wykaże większy niż w roku zeszłym procent zaziębionych pań — będą to ofiary kaprysu mody. Być modną i wysmukłą, a jednocześnie nie wyglądać zmarzniętą na kwaśne jabłko, z noskiem fjoletowym i ustami pod pomadką, zsiniałemi od mrozu — oto proszę pani zagadnienie, które nie łatwo będzie tej zimy rozwiązać. Ba, wytworność „nie jest sztuką łatwą ani małą". Ze swojej strony ośmielę się pani przypomnieć, że jedwabna bielizna latem chłodzi, grzeje w zimie, że są prześliczne pończoszki z wełny przetykanej jedwabiem, że można sobie dobrać cieniuchne wełniane trykociki, które odznaczając się pod suknia stanowią doskonałą ochronę przeciwko chłodom. A zresztą proszę dużo i prędko chodzić tym szerokim elastycznym krokiem, jakim chodzi żona amerykańskiego prezydenta i który na jej cześć nazwano „Coolidge step". Kobieta, która chodzi dużo i prędko, nie zaziębia się prawie nigdy, a przytem taki sportowy krok tak ładnie wygląda. Niech się pani przekona.



JADWIGA WĘDRYCHOWSKA

ŚWIAT RZECZYWISTOŚCI I ZŁUDY

OBLICZA I MASKI

Teatr Narodowy będąc jednocześnie kulturalno - społeczną placówką rozwoju Myśli Polskiej w narodzie utrzymuje się na wysokim poziomie artystycznym, rokując w bieżącym sezonie świetne wyniki.

Z repertuaru epoki romantycznej ukażą się w najbliższym czasie w nowej wystawie „Dziady" Mickiewicza (dekor. Drabika), dalej „Klątwa" Wyspiańskiego i Słowackiego: „Sen srebrny Salomei".

Z dzieł obcych wystawiony zostanie przedewszystkiem „Don Carlos" w doskonałym przekładzie Iłłakowiczówny, pozatem nastąpi „Tymon Ateńczyk" Shakespear'a, „Szkoła żon" Molier'a i ciekawe misterium Claudel'a „Odpoczynek dnia siódmego".

Czemś zgoła nowem będzie wystawienie sztuki Erbena p. t. „Agne" oraz utalentowanego poety Zegadłowicza „Lampki oliwnej".

Komedja Jerzego Szaniawskiego „Żeglarz" grana od kilku dni w starannej reżyserji Jaracza, na scenie Teatru Narodowego narobiła wiele wrzawy wśród publiczności i świata literackiego, ciesząc się wielkiem powodzeniem. Jest to tak pożądany fakt reagowania widza na objawione w widomym kształcie słowa za pośrednictwem aktora problematy życiowe.

Pomimo pewnych trudności tekstu sztukę grano doskonale: niepo-

równanym był Miecz. Frenkiel, czarującą wdziękiem i świeżością Lindorfówna, wyróznili się w rolach epizodycznych p. p. Staszkowski i Cwerłło.

Ciekawy problemat „Żeglarza" osnuty został na powtarzających się u Szaniawskiego ulubionych motywach przeciwstawianie zgnuśniałemu środowisku „prowincjonalnych" szarych ludzi — idei nowej, śmiałej, wysnutej nieraz z fantazji młodych zapalonych głów — i mimo braku realnych podstaw — właśnie może dlatego tak doniosłej.

Poezja fantazji i marzenia jest rzeczywistością przyszłości — namiastką szarzyzny codziennego życia, przynosi ulgę wiecznie gdzieś dążącemu, niespokojnemu duchowi ludzkiemu. Patrząc przez pryzmat wieków na dzieje ducha ludzkiego stwierdzamy jego żywotność skrystalizowaną w kształt bohaterów i geniuszów.

Zasadniczem zagadnieniem koncepcji „Żeglarza" jest wiara w wartość bajki—iluzji, której nie wolno niszczyć w imię piękna, chociażby nawet istotą jej nie była prawda. Dlatego student Jan nie wypowiada całej prawdy o kapitanie Nucie, którego postać urosła na bohatera legendy, będącej karmą dla pokoleń, dobytkiem wychowawczym narodu.

Nasuwa się poważne zagadnienie, czy należało ukryć prawdę dla dobra społeczeństwa i przez to ocalić legendę, czy bezwzględnie obalić fałszywą tradycję i w tem właśnie upatrywać piękno, hartując moc narodu w unicestwianiu dawnych jałowych wartości, przekazanych mu przez tradycję. Nie wolno jednak burzyć dawnych tworów ducha ludzkiego, nie dając wzamian nic nowego!

ŚWIATŁA I CIENIE

Kino Palace. – „Iwonka". Wreszcie ukazał się dawno oczekiwany film polski „Iwonka". Film ten, który miał się stać clou sezonu, zawiódł oczekiwania.

Wprawdzie widzimy wielki postęp w technice: zdjęcia są jasne i przejrzyste, czego niestety o innych filmach wytwórni „Sfinks" powiedzieć nie można,— ale to nie wystarcza.

Podstawa filmu, jaką jest scenarjusz wymaga bardziej gruntownego układu oraz znajomości techniki kinowej w ciągłości akcji i logiki poszczególnych scen.

Przedstawienie Polski jako krainy wszelkiej możliwości, gdzie raptus puellae zbrojną ręką nieomal z zamieszaniem państwa ościennego ma miejsce na porządku dziennym i wprowadzenie widza do ultraegzotycznych spelunek i garsonjer panów „jakich tysiące" świadczy o bujnej fantazji twórców filmu, z rzeczywistością niema nic wspólnego i nie dociąga wartości powieści Germana.

Policja może się czuć zupełnie pokrzywdzoną; przy każdem zajściu jakie zdarzy mi się od czasu do czasu zaobserwować na ulicy, widzę dwóch lub trzech policjantów. Czy tylko tak jest w Warszawie?

Stylizacja w grze amerykańskich awantur padła na nieodpowiedni grunt.

Poroniony pomysł angażowania artystów teatralnych do filmu, sprzeczny z zasadą tegoż, nie pozwolił uratować sytuacji dobrą grą artystów. Oprócz Frenkla (seniora), Gawlikowskiego w roli Felka i sześcioletniej dziewczynki, reszta zespołu gra sztucznie, często wpadając w galop szarży, nie posiadając nawet warunków fotogenicznych. Co do Smosarskiej, to należy zaznaczyć, że ruch i werwa pozwalają uznać tę ostatnią jej kreację za najbardziej udatną, jednakowoż nie odpowiada typowi bohaterki Germana, w której to roli prawdopodobnie wyglądałaby lepiej Łabędzka.

Redaktor FRANCISZEK BATUREWICZ Wydawca LEONARD ŻYCKI.

NASZA ANKIETA

Pragnąc przyczynić się do podniesienia poziomu czytelnictwa w Polsce, rozpisaliśmy ankietę, która wskazałaby przyczyny zmniejszania się zainteresowania do lektury, oraz sposoby zaradzenia temu niepokojącemu dla kultury polskiej przejawowi.

Odpowiedzi, uznane za najlepsze (w liczbie dwudziestu pięciu), zostaną nagrodzone drogą losowania i umieszczone w „Lekturze Wolnych Chwil" w kolejnem następstwie.

Odpowiedzi należy redagować krótko (możliwie na jednej karcie listowego arkusza) i przesyłać wraz z wypełnionym kuponem, znajdującym się w № 2 „Lektury Wolnych Chwil", do Redakcji.

Rozlosowane będą następujące nagrody:

1 obraz Franciszka Szwocha „Faun" wartości 250 zł.

1 obraz F. Bulewskiego „Isolda" wartości 100 zł.

3 egzemplarze znakomitej książki Marina Moretti'ego: „Moja matka", poleconej urzędowo przez Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego

10 prenumerat kwartalnych „Lektury Wolnych Chwil"

10 egzemplarzy Albumu „Nasze Morze" F. Szwocha

By dać możność wypowiedzenia się większej liczbie Czytelników przedłużamy termin nadsyłania odpowiedzi do 20 stycznia 1926 r.

Druk „A. Michalski" sp. z o. o. Warszawa, Chmielna 27. Tel. 27-15.